

WĘDRUJĄCE KAMIENIE

Dawno już temu, bo może przed 600 laty w okolicy Jeżewa mieszkał mąż jakowyś bardzo leciwy, którego znano pod przydomkiem „Wawrzon spod Boru”. Skąd przybył w te strony – nikt nie wiedział, choć nie jeden nad tym głęboko się zastanawiał. Że nie był tutejszy, w to nie wątpiło nawet najmniejsze dziecko, bo był zgoła inny od włościan okolicznych, a i ubierał się jakoś inaczej i odmienną gwarą się wyrażał.

Towarzyskim on tam nie był wcale. Chata Wawrzona, z okrągłaków zbudowana i słomą kryta, stała tuż pod czarnym, sosnowym borem, z dala od wsi. Mała była i niepozorna. Izbę miała jedną, jedne drzwi i jedno okienko, błoną zasnutę. Ubożuchna... A obok mały ogródek na warzywa i poletko ze zbożem. Może by i nie warto było wspominać o całej tej chudopacholskiej chudobie, gdyby nie jedno dziwo... Oto pod olbrzymim dębem, co rósł nad samym potokiem, jaki z Jeżewa wlewał się w las, urządzone był jakoby ołtarz jakowyś. Kamienny stół i klęcznik zdawał się przenosić widza w owe czasy, kiedy to w poświęconych dąbrowach pojaty składano wielkiemu Swantewidowi... Ale ogromny, zaczerniały w ramionach krzyż z rzeźbą Pana Jezusa, dawał znać, że tu żarliwy katolik modły swoje odprawia, czcząc Syna Bożego całą mocą ducha... I ten stół, i ten klęcznik... to też był dziw nad dziwami... Wykute były one rzeczy w jednym głazie, co od prawieków tu leżał, a śnać często używane, gdyż wygładzone były, jak by je ktoś umyślnie szlifował...

Dużo takich głazów zauważyć można było w okolicy. Leżały one po polach, przy drogach, pod lasem, a już specjalnie wiele ich było w koło chaty Wawrzona. Lud okoliczny twierdził, że to szatani je tak porozsypywali. Bo kiedy budowano kościół na Ździeżu, moce piekielne sprzysięgły się nań i przeszkodzić chciały w robocie. Zmówili się diabli, zebrali mnóstwo skał co potężniejszych i dalej, w dyrdy do Borku. Ale nad Jeżewem, gdy się znaleźli, zapiał kur. Tedy nieczyste siły porzucić musiały skaliska owe i jak niepyszne uciekać. Klasztor i kościół ocalał, ale Jeżewo upstrzyło się głazami, co i po dziś dzień tam leżą...

Stary Wawrzon dobrze się czuł w swojej odludnej chatce. Miał wszystko, co do życia mu było potrzebne. Bo i jarzyny były w ogródku, i zboża co nieco, a jagód, grzybów i ziół wszelkich w lesie co niemiara. Barcie też znał w puszczy niejedne, królików dzikich i zajęcy moc. I ciszę miał, i poszum boru, i powietrze wspaniałe. Rzadko widywał ludzi, ale widywał. Do Jeżewa co prawda nie zaglądał, ale czasem ten i ów człek bywało wstąpił do jego skromnej chaty.

Wówczas nieodmiennie spotykał Wawrzona pod owym krzyżem na dębie. Modlił się tam stary żarliwie, bił w piersi co pochwila i kajał na owym kamieniu wygładzonym... Siwe włosy na głowie i długiej brodzie wiatr mu rozwiewał, a łyż jak groch toczyły się na kamień...

Mawiali ludzie, że Wawrzon pokutuje tak za grzechy jakoweś i przewiny wielkie... Że ongiś był wielmożą dużym i wielkich dopuszczał się nadużyć. Że hulał, pił i grał w kości, że niejednej duszy ludzkiej stał się zagładą... Różne rzeczy opowiadano, bo ludzie o ludziach lubią bając, ale kto tam doszedł, ile w tym było prawdy? Wawrzon sam wiedział o tym coś pewnego, ale nikomu się nie zwierzał... Zawsze skryty i tajemniczy...

Razu jednego gruchnęła wieść między ludem, że w Gostyniu, sławnym naonczas miasteczku nad Kanią, gdzie władał Bartosz Wezenborg, potężnego rodu wielmoża, budowano Dom Boży. Wieść ta dotarła i do chaty „Wawrzona spod Boru”. Jak, kiedy, przez kogo, kto go tam wie? Może przyniosły ją ptaki, co obsiadły konary dębu Chrystusowego, może doniósł o tym poszum sosnowego boru... może.

Wawrzona jakby coś odmieniło. Zaczął częściej obchodzić pola okoliczne, wystawać między głazami i modlić się żarliwiej. O czymś dumał, o czymś myślał, coś zamierzał.

A oto pewnej nocy miał dziwny sen. Stała przed nim św. Małgorzata, osobliwa Patronka starego i odezwała się doń tymi słowy: „Wawrzonie, czas twej pokuty zbliża się ku kresowi. Weź,

zbierz kamienie co pomniejszych z pól i zabierz je do Gostynia, by tam służyły ku chwale Bożej na fundamenty nowej świątyni”. Zdumiał się Wawrzon, ale że był człek leciwy, więc praktyczny, zapytał: „A jakoż to -- Święta Moja – zabiorę owe skaliska? Konia ni bryki nie mam, a sam wiekowy już jestem i nie udźwignę ani jednego głazika”. Na to usłyszał głos niebiański: „Nie kłopot się Wawrzonie o nic. Bóg ci da moc i siłę, bo wierzysz Weń i Mu ufasz. Jeno wstań jutro do dnia, zawrzyj chatę za sobą, a potem krzyż Chrystusa weź na swe barki, przeżegnaj kamienie i wezwij je, by poszły za tobą”.

I widziadło znikło. Wawrzon zbudził się zaraz, nie wiedząc, co by to znaczyć mogło... Sen to był, czy prawda istotna? Jeszcze szarzało na dworze, gdy Wawrzon, posłuszny swej świętej Patronce zwłókł się z postania, co raczej Madejowym łóżem mogłoby być nazwane, tak było skromne i niewybredne, obmył się, przyodział i wyszedł z chaty. Zawarłszy ją silnie, poszedł do dębu i ukląkłszy pogrążył się w żarliwej modlitwie.

Słońce tymczasem weszło na niebo i ozłociło wierzchołki sosen w borze. Wtedy Wawrzon wstał, zdjął krzyż z Panem Jezusem z pnia, dźwignął go na plecy swe i poszedł w pole... Tam przystanął, krzyżem świętym pobłogosławił kamienie wszelkie i zawołał głosem donośnym: „Kamienie Boże – pójďte za mną!”

I stał się cud nad cudami... dziw niebywały!... Kamienie wszelkie – za wyjątkiem głazów olbrzymich – ruszyły ławą i zaczęły się czołgać ku Wawrzonowi. Wówczas ten, uwierzywszy, iż misję powierzono mu świętą, odwrócił się i poszedł z wolna przez pola ku zachodowi słońca...

Szedł dni i noce, bez przystanku i pożywienia, dźwigając krzyż... A za nim szły kamienie polne, duże i małe, masą wielką, zgodną gromadą. W Jaworach, Wycisłowie, w Osówcu, Smogorzewie i Jackowie – dołączyły się nowe gromady... A Wawrzon szedł... i szedł...

Dnia pewnego doszedł do Ostrowa nad Obrą. Właśnie wieczór już się zbliżał, kończąc upalny dzień. Wawrzon był u kresu swych sił... Kilkudniowa wędrówka mocno staremu dała się we znaki, krzyż ciążył, niby bryła żelaza na starczych ramionach, gardło wyschło od skwaru, głód skręcał jelita. Toteż zoczywszy modrzewiowy, zamczysty dwór pod boru, postanowił tam uprosić dobrych ludzi o nocleg i strawę jakowąś. Kiepsko wybrał.

Dziedzicem na Ostrowie był wówczas pan, skąpy niepomniernie. Milczą o nim kroniki wszelkie, nie wspominając nazwiska, nie chcąc ujmy robić widocznie rodowi, co wiele usług oddał Ojczyźnie. Skąpstwo tego pana znane było naokół, wszecz i wzdłuż. Nikt go też nie odwiedzał, a on, by się uchronić przed postronnymi, dwór otoczył ostrokołem i psy trzymał ostre, które szczuły na każdego. Służba u niego chodziła w łachmanach i jadło miała gorsze niż trzoda chlewna. On sam wodą i chlebem jeno żył, toteż wychudł tak, że szkielet przypominał. Ale w piwnicach i lochach w zamczystych sepetach gromadził złoto i srebro, ciesząc się jego blaskiem i dźwiękiem.

Przed takiego to dworu wrotami stanął Wawrzon. Zastał je zawarte na dziesięć spustów. Tedy podniósł kamień i zaczął walić w berwiona i żelazne okowy. Zadudniało i po chwili głowa jakowaś wyjrzała zza ostrokołu.

– A od kogóż to? – zapytał głos dziwnie skrzypiący.

– Chciałbym prosić o nocleg, bodaj łyżkę strawy, bom umęczon srodze, w świętej idąc misji – odparł Wawrzon.

– Sam strawy mam niewiele, a obcych w dom nie puszczam, bo nie wiem, co za jedni. Dużo się tu włóczy po okolicy oczajduszów i złodziei, lepiej mieć bramę zawartą.

Wawrzon począł go zaklinać w imię Boga, by się zlitował. Ale cóż mogło takiego sobka poruszyć? Bez serca on był od lat wielu! Tedy na prośby starca otworzył bramę, ale na to tylko, by poszczuć na niego całą sforę psów. Ale Wawrzon miał moc wielką. Krzyżem się Jezusowym zastawił i psy jak niepyszne ogony schowały pod siebie i skomlać, uciekły do dworu.

Starzec nie przekroczył niegościnnych progów. Odwrócił się i zwracając ku głazom swoją umęczoną twarz rzekł: „Widzicie – kamienie moje święte, jak nas przyjmują?” A wówczas jakiś ruch powstał pomiędzy kamieniami. Zaczęły się tłoczyć w zwartą gromadę, niby naradzając między sobą i nagle uniosły się w górę, popłynęły chmurą nad dwór ostrowski i zwały się na dachy budowli.

Huk piekielny rozległ się na całą okolicę, zadrżała ziemia. Nie upłynęło i pięć pacierzy, a z obronnego dworu pozostała kupa gruzów, wśród których potłuczony leżał skąpiec przerażony.

Dokonawszy zniszczenia, głazy wróciły do Wawrzona, który z krzyżem na plecach ruszył w drogę ku Gostyniowi, mimo zmęczenia i ciemnej nocy, co tymczasem zapadła. Głazy ostrowskie ostały się na miejscu. Niegodne były służyć świętej farze na fundamenty, bowiem przeklęte były, jak ich właściciel.

A Wawrzon doszedł do Gostynia, utrudzony wielce, ale zdrow i cały. Głazy zaś poszły za nim posłusznie, łącząc się po drodze z innymi. W Gostyniu zaś pokładły się w stopy wielkie obok łąki kościelnej, by gostyńskiej świątyni służyć na fundamenty.

Lata jeszcze niemałe żył Wawrzon w Gostyniu, co dzień obserwując wzrost kościoła, jego świętej Patronce poświęconego.

I tu zmarł. Pochowano go w sklepach podziemnych wśród tych głazów, które z woli Bożej ongiś przywiódł.

Tak chce legenda!

Kołodłocki Władysław, *Wędrujące kamienie*, „Kronika Gostyńska” 1937, t. 8, nr 8, s. 113-117.